

ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIELŁY W PŁOCKU
NR 29, KWIECIEŃ 2009, EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

LIDIA M. GRODZICKA

Co czynić mam i czego pragnąć?

Chcę wziąć od życia, co moje!

Chcę spełnić toast do dna,

Dopóki młodość trwa!

Rozbawiona, roztańczona,

Komu zechcę, otworzę ramiona.

O wolności upragniona,

Cóż po tobie z biegiem lat?

Niech rano budzi mnie radosna,

niech rozkoszą darzy mnie noc.

Niech mi śpiewa pieśń miłosna,

Jakiej dotąd nie znał świat!

(Verdi "La Traviata")

**Opowiadania
noworoczne**

Lidia M. Grodzicka

czyli krótka charakterystyka poetki, cz. I

Urodziła się Dawno Temu i Daleko Stąd. Wzięła się, oczywiście, ze strączka grochu. Tak się dzieje, kiedy Słońce zapragnie mieć dziecko. Na dowód swojego pochodzenia posiada wielkie, grochowe korale. Teraz obija się po Świecie, poszukując dziur w niebie, uciekając przed wiatrem w polu, gubiąc źdźbła trawy w pudełeczkach na igły... na poduszczykach na igły, pardon. Ogólnie, jest zazwyczaj wielce zajęta wszystkim, co nigdy się nie zdarzy, a także kilkoma jeszcze rzadszymi rzeczami. W wolnych chwilach maluje kamienie na kartkach pocztowych. Z chęcią zacznie pisać ładne, długie, pełne wszystkiego, co trzeba, listy, do każdego, kto wyrazi chęć wyjmowania ich ze swojej skrzynki. Nie domaga się refundacji znaczków. Jak najbardziej nie oczekuje na odpowiedzi. Nigdy bowiem nie jest do końca pewna, gdzie się akurat obudzi. Nie ma to praktycznie żadnego związku z lokalizacją podczas zasypiania. Jej środowiskiem naturalnym pozostają nasłonecznione łąki, biblioteczne sale, podmiejskie uliczki oraz gościnne kanapy w salonach. A także dworce i wnętrza pociągów, szynobusów, autobusów, minibusów oraz metra. Ma mnóstwo niechlubnych, wstydliwych, źle świadczących, paskudnych, niechlujnych, nachalnych nałogów, których lepiej nie przytaczać, z braku miejsca. Najbardziej rzuca się w oczy to, że czyta. Wszędzie, wszystko, zawsze. Oczywiście gwizdże wtedy, kiedy nie trzeba. Za Stachurą powtarza, że "wódka lubi dym". Całkiem lubi wódkę. Nie ma i nie zamierza poszukiwać sensu życia, ponieważ stratą czasu jest szukanie rzeczy nieistniejących i niepotrzebnych. A czasu nie ma wiele. Ma go bardzo, bardzo niewiele. Obraca się w ciągłym niedoczasy. Pewnie dlatego, że nigdy nie oszczędziła ani minuty na niczym, co można by zrobić szybciej, ale pobieżnie. Codziennie rano zachwyca się. Przejaskrawia kolory. Potrzebuje widzieć ostro i przejrzysto. Nadaje kontury jasne, wyraźne. Usiłuje ubarwiać nierzeczywistość. Nigdy, ale to przenigdy nie zamierza umierać.

Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagielly w Płocku
Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>; (024) 364-59-20
lwjszkola@jagiellonka.plock.pl; Opiekun zespołu: mgr Wiesław Kopeć.
Zespół redakcyjny: uczniowie klasy IIIa.

Inga

czyli rzecz pachnąca cynamonem

Inga...

- Ingo! Ingo!

Inga skuliła się. Ktoś wołał ją między pasmami porywistego wiatru. Wirujące dziko słowa dobiegały celu przetarte i niewyraźne. To wołał Kot. Zawsze niepokoił się, kiedy Ingi nie było w domu na czas podczas burzy czy śniegu. A jej nigdy nie było „na czas”.

- Już idę!.. - odchrząknęła w stronę, którą uznała za w miarę właściwą. Śnieg wciskał się jej w oczy, uszy, do nosa. Porywy usiłowały odebrać płaszcz, a nawet powyrywać włosy z głowy. Na szczęście włosy Ingi, pod ciepłą wełnianą czapką, splecione były w grube, ciasne warkocze, których wyrwanie, nawet wicherze, mogło nastreczyć poważnych problemów. Na szczęście.

Między kurzawą zamajaczyło, prawie niewidoczne, prostokątne światełko. To znowu Kot. Pewnie stoi w otwartych drzwiach. Wypatruje Ingi i czeka. O, jak to dobrze. Jak to dobrze, że jest Kot, kominek pełen płomieni, ciepłe ciasteczka z jabłkiem i cynamonem. Kakao...

Inga westchnęła rozmarzona. Białe płatki wirowały wokoło niej, tworząc nieprzebyty gąszcz o konsystencji owsianki. Po chwili zasłaniały już wszystko. Cały Świat Ingi stał się biały. Silniejszy podmuch wichury pchnął ją na kolana.

- Ingo! - głos Kota niknął, przytłoczony tą nieokiełznaną, bezbarwną nicością. „Gdzie JA jestem” zdążyła jeszcze pomyśleć „A właściwie - gdzie podział się ŚWIAT?”. Ktoś narzucił na nią coś ciężkiego i przyjemnego, niczym wełniany koc.

„Ach, gdyby to mógł być wełniany koc...” - pomyślałaby zapewne Inga, gdyby chwilę wcześniej nie straciła przytomności.

Obudziła się na miękkiej, miejscami tylko trochę wysiedzianej kanapie. Wełniany koc, który jednak nie okazał się wyłącznie sennym marzeniem, okrywał ją szczelnie, od czubka brody, po zbieżne koniuszki palców stóp. Ktoś rozebrał ją, ściągnął mokre skarpetki, spodnie oraz sweter i palto, pozostawiając wyłącznie, również lekko wilgotną, bieliznę. Rozplótł nawet warkocze. Inga była mu niezmiernie wdzięczna.

- Dziękuję Kocie - szepnęła w stronę odwróconego tyłem, bujanego fotela, znad którego unosił się, przybierający niekiedy fantazyjne kształty, nieprzerwany obłoczek fajkowych oparów.

Fotel poruszył się, po czym dymienie ustało.

- Nie ma za co - szorstki, lekko zdystansowany, lecz ciepły głos przywodził na myśl coś słodkiego, w miłym, kojącym kolorze...

- Czekoladę...

- Co, proszę?

- Gdyby Twój głos miał kolor - odparła natychmiast Inga - to byłby to kolor czekolady. Albo miodu. Ewentualnie. - zastrzegła na koniec, jakby ten ostateczny upust kosztował ją немало wysiłku. Trzasnęła gwałtownie zamykana książka. „Mag” stwierdziła bezwiednie.

- Wolę czekoladę - odpowiedział po namyśle, gdy bujanie wreszcie ustało. Wstał. Miał na sobie białą koszulę, kamizelkę w beżową kratę. Czerwone spodnie, zaprasowane w kant, podtrzymywały przedpotopowe, czarne szelki.

Był strasznie wysoki, co na Indze zawsze, niezmiennie robiło piorunujące wrażenie. Sama była bowiem, co tu kryć, dość mizernego wzrostu.

- Posuń się... – niecierpliwe mruknięcie wyrwało Inge z zachwycenia.

Kot. Miękki i ciepły. Pachniał Imbirem, Winem i Zielem Fajkowym. Przyłgnęła do Niego cała.

- Piłeś - powiedziała, bez specjalnej nagany w głosie.

- Tylko kieliszek - odparł, niespecjalnie się tłumacząc.

Śnieżycą, która tak niedawno wydawał się Indze śmiertelnie przerażająca, zabawnie usiłowała sforsować oszronione szyby okna. Jakaś witka zniecka trzasnęła w kominku, na znak rozpaczliwego protestu, nim ostatecznie pochłonęły ją płomienie. Na stoliku pyszniło się kilka wyśmienitych pierniczków jabłkowo-cynamonowych Kociej roboty. W powietrzu cienie igrały z okruszkami kurzu.

- Ingo... - dłoń w skórkowej rękawiczce pogładziła niepewnie jej włosy, kark i plecy. - Jesteś... moim największym skarbem!.- zaczął, z udawanym wyrzutem.- I co ja mam z Tobą zrobić?

- Kakao - odparła bez zastanowienia, bujając już w obłokach półsnu - Kakao, jutro, na śniadanie.

Gdy, następnego ranka, otworzyła oczy, pachniało świeżym śniegiem, a kakao oczywiście nie było. Kota nie było także.

Nawet się nie ubierając, w bieliźnie, zjadła śniadanie, zapijając kwartą zimnego mleka. Potem czekała. Czekala cierpliwie, jakiś czas. W końcu ściągnęła z półki któreś z ulubionych wydań "Tajemniczego Ogrodu", ale nie wytrzymała nad nim długo. Uchyliła, drzwi i, jak stała, na boso przebiegła po śniegu, cichutko w stronę zgarbionej na ławce postaci....

- Ingo, do jasnej...Anieli! Co TO ma znaczyć?!

Kot chwycił ją w pół i, wierzgającą, przerzucił sobie przez ramię. W trzech krokach niewyobrażalnie długich, cienkich nóg znalazł się ponownie w sieni, po czym, zamasyście, zupełnie niedelikatnie, rzucił dziewczynkę na kanapę, pomiędzy wciąż rozesłaną pościel. Z prawdziwą furią trzasnął za sobą drzwiami, a Inga usłyszała cichutkie kliknięcie zamykanej zasuwki.

-To nie moja wina! – krzyczała potem na całe gardło, co jakiś czas popierając swoje racje uderzeniem piąstki o niedbale wyheblowane deski. Minęło południe, minęła czarta, szósta... A Kot nie odpowiadał. Śnieg metodycznie zasypywał widok za szybą okna. Wszystko wydawało się Indze takie niesprawiedliwe.

- Jutro idziemy do lekarza. - ton głosu Kota był stanowczy, przepełniony surowością - To, że TY za wszelką cenę usiłujesz złapać zapalenie płuc, nie znaczy, że JA na to pozwolę. - zastrzegł.

Prócz tych 21 słów kolacja przebiegała w milczeniu. Inga była obrażona.

Wieczorem Kot, jak zwykle, kładł się późno. Inga, nadal obrażona, udawał, że śpi, kiedy objął ją, przytulił i cichutko szepnął do ucha, jak bardzo ją...

Następnego dnia, choć Inga bardzo się starała, nie powiedziała Kotu, że gniewanie jej przeszło. Wyszedł przed świtem, nim zdążyła się porządnie wyspać. Czasem można było odnieść wrażenie, że sam nie sypia nigdy, a Inga wiedziała, że nie wróci aż do następnego rana. Oczywiście nie pójda do lekarza. Znowu.

Rymowanka - upijanka

Wychyliłam chyba ćwierci
sześć i więcej,
Ty się śmiejesz,
a mnie strasznie drgają ręce.

Nawaliłam się solennie,
niesłuchanie,
a Ty milczysz,
czy to ładnie tak, mój Panie?

Przekrzywiłam sobie beret,
po francusku,
no a Ty się znów,
uparcie rwiesz do Rusków....

Komentowanie rzeczywistości

Po usunięciu problemów z przekazem,
po niewielkich poprawkach stylistycznych,
świat może wyglądałby na mniej mdły.
Dobrze czasem pomyśleć o nielicznych
możliwościach rozwiązań, prócz spania,
jak tym razem.

Kiedyś mydło pieniało się
nie to co teraz
Robiłyśmy sobie z tej
piany
białe rękawiczki księżniczek
Smarowałyśmy nim i nogi
do kolan od kostek
i goliłyśmy klockami
dla zabawy
Dopiero potem
jedne wcześniej
drugie później
zauważyłyśmy
wbrew opiniom matek
że to czynność
niezbędna

Ciemna ściana

Jest pewna ciemna ściana
Za którą młodym
Leje się wino.

Jestem troszkę zakochana,
Ale to nic.
To minie.

Jest pewna ciemna ściana
Pod którą cel, pal
I padnij.

Bywało się w lepszych czasach,
Bywało cieplej, weselej
Ładniej.

Jest pewna ciemna ściana,
Po której nie czeka
Jutro.

Są takie życia, tacy ludzie,
Nawet wiosną,
Aż smutno.

Próżnia dla innowierców

Jestem Samotna Inaczej
nie z opuszczenia
lecz z nadmiaru ludzkiej bliskości chcę się wyzwolić
potrzebuję wiecznego spokoju
w zupełnie pustym pokoju bez oddechów
cudzych
uszy mam pełne śmiechu
pragnę cichego, czystego domu
tylko mojego kawałka betonu
chciałabym próżni
w sercu
żeby tam zasnąć
w razie ataku innowierców
z zewnątrz...

Dobra-Zła Wiedźma

Co byś zrobiła, Kobieto Początków Tysiąclecia, gdybyś w kruczym gnieździe, w dziupli wyschniętego dębu, otulone puchem czarnych, ptasich starań o ciepło, znalazła dziecko, dziewczynkę, maleństwo? Gdyby łaskotały Cię delikatne włosy, grzał płytki oddech, ziębiła gęsia skóra? Kobieto Z Żelaza? Kobieto Z Marmuru? Co byś zrobiła Dziewico, Matko, Starucho? Jak by się nią zajęła policja, pogotowie, straż pożarna? Jak zwie się panaceum? Dom dziecka, czy opieka społeczna? Kim byś się zasłoniła? Kobieto...?

Co by zrobiła Czarownica? Ugotowałyby ją w kotle, z nietoperzymi pazurami, ogonem myszy i trąstką? Zatrzasnęła w piecu? Zapiekła w potrawce? Albo, co najpewniejsze, pożarła na surowo, oblizując po pulchym ciałku zgrabiałe, ociekające tłuszczem paluchy... Lub zaniósłaby ją Diabłu, jeśli nie Żydom, na ofiarę, jeśli nie na macę... Obmyłaby ją w ogniu piekielnym, odsprzedała jej duszę. To prawie więcej niż oczywiste. Pozwalam Ci w to wierzyć. Jeszcze przez Chwilę...

A tak naprawdę, Czarownica zawinęłaby ją we flanelową koszulę, sama marznąc w staniku w listopadowym pół-słońcu. Przysunęłaby do ust jej rączki, roztarła zziębnięte stópki, co byłyby niczym płatki róży, albo piwonii. Bardziej róży. Uśpiłaby ją kołysanką, w której ani jeden pajak nie snułby sieci, nie grał żaden Szczurołap. Byłaby jeszcze dzieckiem, bo jeszcze nie kobietą, jakich pełno po miastach, bawiących się w dorosłość marki puder-fluid, sygnowaną szminką i papierosem, popieraną różową tabletką na święty spokój. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Twojego oka. Taką Ci ją pokazuję. Taką masz szansę ją zrozumieć.

Zabrałaby dziewczynkę do domu, zginając pazur bez kurzajek, otworzyłaby przejście do tajnej komnaty. Przesunęłaby kocioł i wypchanego krokodyla, schowała do szafy kościotrupa. Zrobiłaby miejsce. I nie pochwaliłaby się sąsiadkom, żadnej ekspedientce w hipermarkecie. Przed wszystkimi ukryłaby te dwa cudne oczka, żółte i niebieskie. Bo przecież Czarownice, jak Cyganki, porywają dzieci. A za takie oczy idzie się płonąć.

Nigdy nie kupiłaby jej mleka w proszku, mamką byłaby jej najczarniejsza z czarnych, Kocica Bez Oka, sekretarka zmierzchu, czujnie śledząca wędrówkę Słońca po parapecie w kuchni. Byłby to podarunek od Kochanka na pierwszą rocznicę tańców. Czarownica kołysałaby dziecko delikatnie, drzeniem ręki w powietrzu, westchnięciem Wiatru Z Południa. Nazwałaby je po cichu Córką Czarownicy. I nie poszłaby mu na chrzestną ani Zaraza, ani Śmierć, choć obie mają wystarczająco poważany rodowód, należycie udokumentowany w parafialnych księgach. Aniołowie śpiewaliby nad nią Gloria i Alleluja, opłacani jedynie mlekiem i miodem, czasem szarlotką. Błaskiem swym zaoszczędziliby pieniądze na lampkach nocnych. I nie byłoby lepszych niebieskich nianiek, ani troskliwszych Stróżów w żadnym chórze przykościelnym. A wszystko to na wezwanie Czarownicy.

Czarownicy chodzącej ulicami ciężko od leków, potykającej się w parkach o nadpalone czaszki. Czarownica ta załatwiałaby sprawy w urzędach i szkołach, zdawałaby egzaminy, regulowałaby rachunki za wodę. Nie stać by jej było na abonament. Mijałyby ją kobiety o wózkach popychanych dumnie i brzuchacie, obniesione dostojnie w nabrzmieniu swoich piersi, kobiety o napuchniętych nogach, nadwerżonych kręgosłupach, nerkach i siatkówkach, popijające majestatyczną maślankę. Wszystkie byłyby bardziej niż bardzo senne. I żadna z nich nie myślałaby, że z dzieckiem można całkiem w niebie przetańczyć cały las w każdy osiemnasty dzień każdego kolejnego miesiąca, aż do trzynastu, na szczęście. Myślałyby za to nad imionami nie do zdarcia i nie do podrobienia. Dziwnie jest przecież nazwać dziecko Dzieckiem Swojej Matki, choćby nim było.

Czarownica kąpałaby swoją Córkę w wywarze z piołunu i blekotu. Dałaby jej tym niezawodną ochronę przed zakusami wszystkich nadziejożernych w lecie rusalek i topielic. W uszko wdmuchiwałaby jej z gołębiego piórka Spokój i Ciszę porannego rozświetlenia trawy. I nie mówiłaby jej nic o strasznych, zaczajonych w powietrzu drutach elektrycznych.

Nie mogłaby z nią chodzić na huśtawki, nie przed północą, ani na Grób Nieznanego Żołnierza podczas uroczystej zmiany warty. Nie wpisałaby jej w dokumenty, ani w odliczenia podatkowe, ani nawet w spis powszechny. Nie założyłaby Książeczki Zdrowia Dziecka. Ze strachu. Nie można być przecież w życiu zbyt zaradnym, powinno się unikać rozwiązywania problemów inaczej niż sposobem aleksandryjskim. Pomysłowość może przecież pochodzić z czyjegoś podszeptu. A ogień oczyszcza pięknie, pozostawia tylko garstkę wyrzutów na wietrze. Wszystko jest lepsze niż czary.

A dziecko bawiłoby się, zabawami tych, co im się nie zabrania dotykać klosza przy żyrandolu, gałki, która szuka fal radiowych, klucza od starej puszki, co już dawno świeci pustką. Do obiadu wypijałoby zawsze kieliszek słońca, znalazłoby z pamięci wszystkie sposoby oddzielania ziarna od plew i kaszy od grochu. Miewałoby czasem usteczka fioletowe od niemytych, leśnych jagód, nawet w Boże Narodzenie. Lubiłoby patrzeć na niedźwiedzie tańczące bez kagańca w wielkiej szklanej kuli ze śniegiem. Czarownica pozwoliłaby mu zatrzymać świecidełko, nagryzione w Wigilijnej rybce z mrożonki. Byłaby dobra, jak dobrą potrafi być tylko całkowita Wiedźma, o splątanych, rudych lokach, w których czają się po nocy wyeksmitowane znikąd nietoperze. Nawet, jeśli miałaby akurat włosy zbyt jasne i zbyt krótkie, nawet dla biedronki. Nauczyłaby się bajek, w których smokom nie zagrażają żadni rycerze zza siedmiu mórz, ani szewcy, ani nawet czarodzieje, a już na pewno nie wyginięcie z przyczyn naturalnych. Byłyby to bajki o zębatych paszczach, które bardzo lubią kapustę. Po zapadnięciu zmroku, po cichutku powtarzałaby przy świeczce za korespondencyjnym kursem, oczko za oczkiem, ścieg szalikowo-swetrowy. Staralaby się pokonać wewnętrzny antytalent, który bardzo dawno temu kazał pewnej złośliwej kobiecie z bezsilności zemścić się na wrzecionie i kołowrotku. Antytalent do robótek ręcznych.

I tylko cały czas coś by się nad nią unosiło, „Młot...” jak miecz Damoklesa budziłby ją w nocy kowadlanym szczękiem. Złośliwie śmiałaby się do niej płynąca woda i żelazo. Coraz bardziej tylko dach katedry stawałby się bezpiecznym punktem poznawania świata. Na szczęście nowoczesne foteliki dziecięce, o udoskonalonej formule i podwyższonym standardzie uniwersalności pasowałyby też, na styk, do latającej miotły. I coraz częściej Czarownica żałowałaby w nocy obcej, pięknej mowy kwiatów, w której padły do niej tak drugie, jak i pierwsze słowa, z ustek podobnych pączkom tulipanów. I mniej ważne stawałoby się wtedy, że byłyby to słowa jasne jak przedświt i pełne jak jabłka. Ważniejszy byłby głos z zewnątrz, szum zza ściany, który wylatywałby spod gołej, sąsiedzkiej żarówki i przynosił ze sobą zsiniałą czerwień, przechodzącą czasami we fiolet. Bo Czarownica coraz bardziej rozumiałaby, jak działa Świat. Jak dużo dokoła niej domów dziecka. Jak dużo bardziej samotnych, nie tylko matek. I jak bardzo niepraktycznie jest nie uczyć o tym w szkołach, omijać to przy śniadaniach, wyciszać na spotkaniach niby-towarzyskich. I patrzyłaby w żółte oczko i w niebieskie oczko, i pozwalała zatapiać w swoich dłoniach gładkie piąstki, którym dano dokładnie tyle siły, aby ich paznokietki były różowe i miękkie. I cały czas myślałaby o Świecie. Na aukcji internetowej wystawiłaby kocioł i krokodyla i nawet kościotrupa. Zabrałaby Kocicy okulary, wprawiła nowe, zielone oko. Po jednym zdmuchiwałaby z powietrza tańczące pod sufitem anioły. Ze łzą w oku pożegnałaby w składziku miotłę, przestałaby wystawiać krasnoludkom przy kredensie spodeczek ze śmietanką. Ostatni raz zatańczyłaby się w sobie przy fontannie, ubrana w niebo, kiedy szczęście gasiłoby dla niej wszystkie szpiegowskie latarnie Inkwizytorów. Kochankowi zwróciłaby na pamiętkę kwiecistą, bujną mowę piwonii, którą dawno temu przyjęła z jego ust, nie tracąc przy tym niewinności. I odprawiłaby go z kwitkiem niby pralnianym. Nie każdy Kochanek nadaje się przecież na Ojca, choćby i nadawał się na Męża Dla Czarownicy. Choćby był na tyle odważny, by zaryzykować współzespolecie z drewnem w popiele. Ten nie nadawałby się.

Temu mógłby, co najwyżej, należeć się deszcz o jasną skórę na piersi. Ale nie dziecko. Tyle wiedziałyby o nim bez wróżenia z fusów. Powoli, cegła po cegle, zdejmowałyby ze ściany jedyną swoją tajemną obronę przed Światem. Zebrawszy całą odwagę zapisałyby Córeczkę do dwujęzycznego przedszkola na przedbiegi w wyścigu szczurów. Naprędce wymyśliłyby jej imię jasne i proste do zapamiętania, w którym urzędnicy rzadko robią błędy ortograficzne. Może Maria, a może raczej Anna. Najprawdopodobniej Anna Maria. Dzień w dzień z mozołem uczyłyby małą języka krzyków, złości i potajemnych szeptów. Przygotowywałyby ją na Wyjście. Założyłyby do tego poważne, szacowne okulary bez oprawek, wydała całe oszczędności na wielofunkcyjny wózek ze specjalnym stojakiem na produkty marki Gerber. Ukradkiem podpatrywałyby ciecie przy placach zabaw, babcie na ławeczkach w parku. Nauczyłyby się nerwowości i niecierpliwości, na szczęście tylko na pokaz. Cicho, potajemnie, ze wstydem przed sobą rezygnowałyby z pięknych idei. Dziecku należałoby się przecież „normalne dzieciństwo”.

A mała bawiłaby się promieniami słońca przy łóżeczku, niespodziewanie przeniesionym pod okno w otwartym, pełnym hałasu salonie. Nigdy nie ciągnęłyby za ogon czarnego kota, który nagle przestałby chodzić na dwóch łapach, nie utyskiwała na zmiany w wieczornym oświetleniu. I prawdopodobnie, kiedy by już urosła, skończyła nie tylko przedszkole dwujęzyczne, ale zdała z wyróżnieniem międzynarodową maturę, nie dziwiłby ją ani zachwyt zawieszony między drobinkami księżycy, ani nocny śpiew lipy za oknem.

Tak by się stało. Tak by się stało. Odpowiadam, choć nie pytałaś, Moja Siostrze, Kobieto Mojego Wieku. Dziewczynkę ominęłoby zimne oczekiwanie, ominąłby standardowy przytułek w drodze, co potem na życie daje kawalerkę i/lub zawodówkę. I byłaby piękna, i istniałaby pięknie, mimo śpiewnego akcentu, mimo różnobarwności oczu. Nikt nie widziałby na niej ani śladów kruczych pazurków, ani plam po jagodach, ani odbicia anielskich skrzydeł. Tak by było. Czemu nie miałabyś być Czarownicą?



Pouczenie

Matki myślą,
że wiedzą co jest dla nas
dobre.
Za ich czasów
dobre było być ubranym
w dolary
zamienione na gumę balonową.
w ... peweksie, czy ...m-pegieku.
Niewinnie. Nieważne.

Matki myślą,
że wiedzą czego nam
zabronić.
Za ich czasów
zabronione było mówić
głośniej,
niż od ciebie chcieli,
myśleć inaczej niż
Pan Bóg.

To cześć!

Mnie wcale na Ciebie
nie skazali. To się tak
tylko nam wydaje, mój
niby – że – kochany.

Ja sobie świetnie bez
Ciebie, to jasne, że ja
sobie świetnie, i ugotuję,
i upiorę, i zasnę.

Ty sobie ... ja
nie wiem, to nie moja
sprawa, jak ty sobie
teraz beze mnie.

Z tego, co myślę, to
świetnie.

No, świetnie.

To cześć!

Anafora

Ryczeć mi się chce, mój Panie,
jak idiotce, na wycieczce,
w Mediolanie!

Ryczeć mi się chce, bezsprzecznie,
jak wariatce, na wolności,
niebezpiecznej.

Ryczeć mi się chce, fachowo,
jak gruźliczce, podczas deszczu,
z gołą głową!

Ryczeć mi się chce. Zwyczajnie.
Jak biedaczce, znów ubranej
jednostajnie.

Ryczeć mi się chce, stylowo,
jak paniusi, co ma kieckę
co dzień nową.

Ryczeć mi się chce, paskudnie,
jak staruszce, której w życiu
- coraz nudniej.

Ryczeć mi się chce okropnie,
bez pardonu,
jak poetce, bez natchnienia,
w okularach
z żelbetonu!

Byłam i jestem, jak już nie będzie mnie nigdy
Szukam szczęścia, a spojrzenie bystre w wodzie nie powtórzy się.
Z Nim, z Nią, z Tobą, którymkolwiek z nich byś nie był,
Lub nie była,
Nie ma to nic wspólnego, albo tyle,
Ile wystarczy do samotnej, kiepskiej kolacji w bistro,
Dla Ciebie byłabym w stanie ugotować „coś ekstra”, w pożyczonej kuchni,
Przed pożyczonym łóżkiem, choć z własną, na szczęście, pościelą.
Postarać się dla siebie kosztuje więcej niż zupa pomidorowa na rogu Kwiatka
Nawet z ryżem (nie cierpię świderków, wstążeczki mogą być).

Zła Wróżka

Przecież bywają też Złe Wróżki, te, które wieczorami zsyłają małym dziewczynkom pająki pod poduszki, z wielkimi, czerwonymi ślepiami, aby swoimi włóchatymi do obrzydzenia nogami przebiegały im po twarzyczkach i wplątywały w delikatne, miękkie włoski, dokładnie rozczesane przed snem przez kochające mamusie. Ktoś musi przynosić węże, syczące za łóżkiem, językami muskające gładkie, różowe policzki, grzechoczące ogonami na granicy słyszalności, niewidzialne dla dorosłych. Każdy nietoperz, przelatujący tuż nad muszelką maleńkiego, idealnego uszka ma swoją Panią, co go wysłała na te nocne łowy strachu, by bielutkimi kłami paraliżował odsłoniętą szyjkę. Wszystko to skądś pochodzi przecież, lęgnie się w czyjejs kieszeni, ktoś to gładzi pieszczotliwie po szkaradnych łepkach. Bywają przecież i Złe Wróżki....

Anna In obudziła się. Anna In obudziła się. Anna In obudziła się.... Anna In obudziła się. Anna In leżała w łóżku i z ciekawością przypatrywała się, jak budzi się po raz kolejny. Anna In obudziła się. I znowu. Interesujące. Bardzo interesujące. W końcu jednak poczuła, że tracenie czasu nic nie daje. Anna In obudziła się, wreszcie po raz ostatni. A tak miło było nic o tym nie wiedzieć. Tak przestronnie. Jednak pobudka musi mieć kiedyś swój kres. Każdy dzień należy zacząć. Samemu.... Pomyślała, że powinna zastanowić się nad czymś, co w przyszłości zaczynałoby dni za nią. Anna In przeszła przez sypialnie. Anna In przeszła przez sypialnie. Anna In... Nie, dość tej zabawy! Anna In przebiegła przez sypialnie, wypadła na zegar, minęła palarnię papierosów... zawróciła. Powoli, spokojnie podeszła do palaczy, w najlepsze rozprawiających o raku płuc oraz astmie. Czarna, lejąca się koszula nocna zawadziła o księżyc i rozdarła na brzegu. Na dźwięk szarpanego materiału palacze podskoczyli.

- Pani.
- Panienko.
- Miłościwa.
- Najjaśniejsza.
- Najwyższa.
- Eminencjo.
- Wasza Łaskawość.

Wszyscy po kolei klękali na jedno kolano, aż Anna In mogła swobodnie przejść wzdłuż szeregu, a oni posłusznie składali pocałunki na jej dłoni.

- Moje Siedem Nocy. Moich Siedmiu Nietoperzy. Moje Siedem Nibyńców.

Nibyńce pochyłili głowy, a Anna In zawróciła, tym razem czochrając ich włosy.

Gdy dotarła do końca, biegiem puściła się w dalszą drogę. Nibyńce jeszcze przez dobry kwadrans nie podnosili się, kornie spuszczać oczy. Anna In była podobno niesamowicie piękna, kiedy się złościła. Podobno, bo niezbyt wielu miało okazję zdać z tego relację, po całym zdarzeniu.

Jest na Świecie takie miejsce, zwane raz Królestwem Czarnego Kota, kiedy indziej Krainą Wierzbowej Narzeczonej, a jeszcze inaczej Domem Pani Pięknej Niczym Bluszcz, w którym mieszkają dziwne, pokraczne stwory o dobrych sercach, oraz prześliczne stworzenia bez serc. Stamtąd Zła Wróżka wysyła do dzieci potwory pod łózkami...

Bywają przecież również Złe Wróżki, bo jak inaczej poznawałoby się pośród wszystkich te dobre, Matki Chrzestne, ofiarowujące marzenia na wynos owinięte w ciepły jeszcze sen.

Gdyby były po prostu Wróżki. Bo jak to pewnie brzmi: Dobra Wróżka. Ile zaufania, nadziei można pokładać w tych dwóch słowach. Kto by wiedział, co bez nich począć? Kto ratowałby wtedy przed macochami nieszczęsne Królowny, odczarowywał wrzeciona, wybierał księżęta, kupował karoce?

A kto by złorzeczył, pluł jadem? Z kogo dłoni wychodziłyby pędy znenawidzonego głogu oraz wieczny bezruch nocnej mary, kiedy biegniesz, ale nie ma ucieczki? Kto siadałby nieproszony przy stole biesiadnym, aby rycerze mogli go zatłuc na śmierć mieczami, lub na brzegu dziecinnej kołyski, długimi paznokciami rysując diabelskie znamiona? Zdarzają przecież zadania ponad siły najgorszych z ludzi. Bywają więc także Złe Wróżki...

Anna In siedziała za biurkiem, znudzonym gestem rozsyłając na szesnaście stron siedmiu światów, a także do najniższego nieba strachy, koszmary na jawie, fatamorgany, gorączki z majakami oraz dzikie wrzaski obudzonych znenacka lunatyków. Za każdym, wypisanym pieczołowicie na maszynie starej daty przez Grubą Kocię Bez Oka, poleceniem śmigły zaraz czarne cienie zmór, siedzących cicho pod sufitem, dyndając w powietrzu brudnymi od błota nogami. A lecąc wszystkie za punkt honoru stawiały sobie śmiać się tak paskudnie, jak brzmi szorowanie paznokciami prawej ręki po tablicy, a lewą darcie styropianu. Anna In siedziała za biurkiem, znudzonym gestem rozsyłając na szesnaście stron siedmiu światów, a także do najniższego nieba strachy, koszmary na jawie, fatamorgany, gorączki z majakami oraz dzikie wrzaski obudzonych znenacka lunatyków. Anna In siedziała za biurkiem... Anna In leżała na łące i znudzona przypatrywała się, wiecznie powtarzającym się obrazom. Kiedy wstała wreszcie... Anna In siedziała za biurkiem, znudzonym gestem rozsyłając na szesnaście stron siedmiu światów, a także do najniższego nieba strachy, koszmary na jawie, fatamorgany, gorączki z majakami oraz dzikie wrzaski obudzonych znenacka lunatyków. Każdemu mogło to przecież zacząć działać na nerwy. Ale nic to. Muszą bywać i te Złe Wróżki....

- Jest jedna podła Kraina na Świecie, o której opowiadając, można sprowadzić wielkie nieszczęście. Znaleźć ją można zaraz za Granicą Cienia, wystarczy lekko odchylić Jego Płaszcz w jakimś kiepsko oświetlonym kątku, koniecznie lewą ręką, i nigdy w stronę południa. Różnie się ją nazywa dzisiaj, prawie każda staruszka ma na nią swoje własne, domowe określenie. Mnie mówiono o niej Królestwo Czarnego Kota, co ma ogon długi jak droga Mleczna, a na nim dyndają straceńcy....

- Villon.

- Do usług, madame.

Francis zgrabnie zeskoczył na miękką trawę, otrzepując ramiona z czarnej sierści. Ukłonił się nisko, po czym ukląkł, delikatnie całując jej białą stópkę. Anna In uśmiechnęła się do niego szeroko, wielkopańskim gestem nakazując wstać.

- Zawsze byłeś moim ulubionym łotrem, karczemny wierszokleto. Podły psubracie. Przechero bez szeląga przy duszy, co zakatowałeś i na nieczystą drogę sprowadziłeś kobiet tuzin i cztery. Pokaż twarz, niech przyjrzę się twoim przepruchniałym zębom.

Mężczyzna posłusznie pozwolił jej rozewrzeć sobie szczęki, niczym ogierowi na targu, ukazując kilkanaście poczerniałych kikutów.

- Tfu! Obrzydlistwo. Do końca przeżarła je zgnilizna. Cierpisz dużo?

- Nieprzerwanie, o Pani.

- Piszesz jednak? Nie zniosłabym, gdyby ból w dziąśle odebrał ci dar słowa.

Villon ponownie zatrzepotał w ukłonie połami płaszcza.

- Na dnie jamy ze skorpionami tworzyłbym strofy nie gorsze od Testamentu.

Anna In roześmiała się cichutko, a brzmiało to, jakby...

- ...sakiewka pełna pereł nie większych od paznokcia małego palca wysypała się na półmisek z najdelikatniejszej, najdroższej porcelany.

- Pochlebco! Myślisz, że sobie ciebie za to wezmę do sypialni? - zapytała, wykrzywiając przewrotnie swoje cudne oblicze. - Gdyby nie wiersze, co mi je dedykujesz, już byś brał kąpiel w roztopionej skale. Sparzyłbyś się na tym!

Zawirowała wkoło własnej osi, wyciągając przed siebie ręce.

- Na mnie byś się sparzył! - krzyknęła, upadając pośród kwiatów rumianku. - Bo co, jak co, ale Złe Wróżki być muszą. - dodała, leżąc już na wznak i patrząc przed siebie. Anna In siedziała za biurkiem, znudzonym gestem rozsyłając na szesnaście stron siedmiu światów, a także do najniższego nieba strachy, koszmary na jawie, fatamorgany, gorączki z majakami oraz dzikie wrzaski obudzonych zniecka lunatyków...

- Pani.

- Wejź Romulusie.

Wysoki, gibki mężczyzna o ludzkiej twarzy, ale za to wilczych uszach, tylnych łapach i ogonie, uklonił się sztywno, po czym w trzech susach, niesamowicie długich, jakby gabinet nagle skurczył się o trzy czwarte, stanął naprzeciw biurka. Anna In w końcu przestała znudzonym gestem rozsyłać... i wpatrzyła się w niego z niekrytym zainteresowaniem. W tej samej chwili Francis Villon stwierdził, że ponownie wisi za szyję na drapiącym ogonie Czarnego Kota. Postać, stuknąwszy obcasami, pochyliła się po raz kolejny.

- Pani. - powtórzyła głębokim, lekko ochrypłym głosem, przywodzącym na myśl gardłowe warczenie wielkiego, niebezpiecznego zwierzęcia - Mamy problem.

Anna In poderwała się, uradowana klaszcząc w ręce.

- Wreszcie! Już mi się zdawało, że ta biurokracja zanudzi mnie na Śmierć.

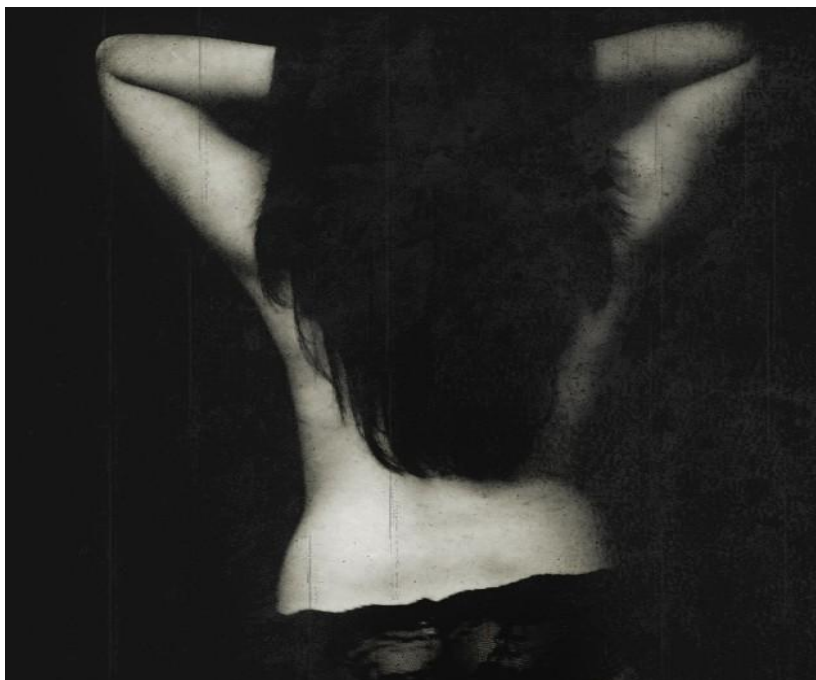
Szybko przebiegła do drzwi, po drodze chwytając nibymężczyznę za rękę i wyprowadzając do Przedświadości. Podświadość zatrzasnęła się za nimi z hukiem. Anna In wskazała mu unoszącą się w niebycie kanapę, sama jednak nie usiadła. Jak mała, podekscytowana dziewczynka dreptała w miejscu, próbując dać kurierowi do zrozumienia, żeby wreszcie zaczął. Romulus, widząc to, uśmiechnął się nieznacznie. Chciał jak najdłużej przeciągnąć tę chwilę, chociaż wiedział, że poważna sytuacja wymaga natychmiastowego działania. Ale kto mógłby sobie odmówić przyjemności obserwowania zniecierpliwienia na twarzy swojej Pani? Pani, dodajmy, Pięknej Niczym Bluszcz. Nibymężczyzna przez chwilę rozkoszował się tym dyskretnie. Jednak trzymanie kogoś takiego w szachu nigdy nie trwa długo. Z każdą chwilą minka rozemocjonowanej dziewczynki coraz bardziej przypominała, kto tu kim rządzi. W końcu spasował.

- Nibynice natrafiły na opór podczas pracy. To coś...- zamyślił się na chwilę, żeby ją wypróbować, ale pod każącym spojrzeniem błyszczących, wielkich oczu o nie do końca określonym kolorze odkaszlnął tylko. - Coś jakby całkowity brak reakcji ze strony straszonego obiektu. A dokładniej: małego dziecka. Owszem, ogania się, kuli pod kołdrą i takie tam, ale ani razu nie otworzyło oczu. I nie boi się naprawdę. Ma, wiem jak dziwnie to brzmi, poczucie, że wszystko co się dzieje, to tylko... sen. - zakończył, dość niepewnie widząc nadchodzący wybuch.

- Tylko sen, mówisz? A to się... dziecko - wyrzuciła to słowo z siebie z obrzydzeniem, jak oślizgłego robaka - zdziwi. - szepnęła i zniknęła.

Villon natomiast czuł się właśnie niezwykle oszukany. Jeszcze przed chwilą wyciągał rękę do najpiękniejszej istoty, jaka kiedykolwiek chodziła po Niebie czy Ziemi, która w przedziwny, ale jakże cudowny sposób leżała u jego stóp z rozpostartymi szeroko ramionami, w muślinowej sukni opiętej dokoła wspaniałych, krągłych piersi, cienkiej tali idealnych bioder, aby w mgnieniu oka, zupełnie niespodziewanie wrócić tu, skąd zapewne nie wydobędzie się przez najbliższe dwadzieścia lat, albo nim nie napisze kolejnych trzystu wierszy sławiących rzeczon urodę we wszelkie możliwe sposoby. Nie, żeby nie miał już pomysłów, albo weny. Nie, nie. Zwyczajnie, po ponad czterystu latach podobny obrót spraw wydawał mu się zgoła mało ciekawy.

Anna obudziła się nagle, coś chyba przebiegło jej po twarzy, zaczęła otrzępywać się z tego nerwowo. Wymachiwała rączkami na oślepi, wiedziała, że pod żadnym pozorem nie powinna otwierać oczu. Nocnym zwidom o to tylko chodziło, by bardziej ją przestraszyć. Jeśli tylko uchyli powieki ukażą się jej okropniejsze, niż jest w stanie sobie wyobrazić. A potem porwą ją ze sobą do Królestwa Czarnego Kota o ogonie długim jak Droga Mleczna Krainy Wierzbowej Narzeczonej, którą babcie tak lubią napominać nieposłuszne wnuczeta, albo Domu Pani Pięknej Niczym Bluszcz, co to jednym uśmiechem zabiera dzieciom wszystkie marzenia. Anna jeszcze mocniej zacisnęła oczy, próbując pozbyć się wrażenia obecności, tuż naprzeciw niej, jakby zaraz w nogach łóżka. Usłyszała cichutki, cieniutki śpiew, delikatniejszy niż podmuch wiatru za oknem. Kobięcy głos nucił ładną, nieznaną jej melodię, co jakiś czas dodając do niej niezrozumiałe słowa, przywodzące jednak na myśl rzeczy kolorowe i piękne. Dziewczynka uspokoiła się troszkę, przestała oganiać bezładnie rozpostartymi dłońmi. Usiadła, po omacku wyszukała włącznik lampki nocnej, jednak musiał się zaciąć, bo nie była w stanie wcisnąć przełącznika. Kiedy się z nim mocowała, śpiew przeszedł na chwilę w dźwięczny śmiech, który ktoś o bujnej wyobraźni mógłby porównać do odgłosu wydawanego przez cały woreczek perełek, nie większych niż paznokcie małego palca, rozsypany na porcelanowy półmisek. Anna miała jednak przeciętną wyobraźnię, a sam dźwięk wydał jej się bardziej niepokojący niż niezwykły. Dziwna piosenka nie ucichła, mimo że porzuciła próbę zapalenia światła, a zbytnio bała się wyjść z łóżka, nie wiedząc na co nadejście. Julia mówiła kiedyś, że przyszedł do niej Grajek, cudowny Flecista, wraz ze stadem szczurów, gryzących, jeśli próbowało się zejść. Wzdrygnęła się na samą myśl. I chociaż nic to nie dało, spróbowała zasnąć z poduszką naciągniętą na uszy. Widziadła rozplynęły się dopiero późnym rankiem, razem z nadejściem taty. Anna In siedziała za biurkiem, znudzonym gestem rozsyłając na szesnaście stron siedmiu światów, a także do najniższego nieba strachy, koszmary na jawie, fatamorgany, gorączki z majakami oraz dzikie wrzaski obudzonych zniecka lunatyków...



Ewa

Wypiłabym Twoje oczy, mężczyzno,
Wychodzi ze mnie cała Ewa.
Pojawiam się bosa na parapecie kuchennym,
Szukam noża. Jabłka nie należy przecież
Rozrywać siłą.

Moje biodra, w blasku eklektycznej latarni,
jak mgławica Oriona, tylko szersze.
Jestem prawdziwsza, niż to było przed narodzinami Kaina,
Więcej we mnie wiatru, więcej pokoleń węża.
Na Drzewie Pańskim, między najwyższymi gałęziami,
Wyryte scyzorykiem moje inicjały.

Wydałeś się na pastwę, tylko po to pękła szyba,
Wszystkie przeszłe wieki zwątpiły w Twą niewinność.
Zostałeś napisany by tej nocy zadławić się pestką,
By, jakże pięknie, odejść od ideałów.

Nie, nie namawiam Cię do grzechu, nie muszę.
Pewne rzeczy załatwiono już kiedyś porządnie.

Dziękuję Ci, Ewo, babciu wszelkiego szczęścia,
Że byłaś pilną uczennicą smaku.
Dziękuję za piękną reklamę zapachu i czerwieni,
Za ofiarę litości, szczodrość serca.
Dziękuję Ci, Stara Ewo, za sprawiedliwy podział,
Który wzięłaś we własne ręce.
Ja rozkruszam już tylko jeden kęs, jak policzek
Dla śmierci.
Wychodzi ze mnie Cała Ewa.

Pomyślałam o Tobie
I oto jesteś.
Zadziałał pewien dziwny rodzaj
Metafizyki interpersonalnej,
Który pozwala mi nie zapomnieć,
Że masz coś oprócz ciała.
Pojawiłaś się na moje skinienie,
Przyszłaś z niebytu,
Na schody.
Wywabiłam Cię z pustki,
W której spokojnie mogłaś kontemplować
Kontur idealnego paznokcia.
Ja przecież tylko pomyślałam o Tobie,
Nawet nie z miłością.
Ciekawość pchnęła Świat
Na proste, jasne tory.
Chciałam spojrzeć Ci w oczy,
Potoczyły się po posadzce.
Jeden błysk myśli wystarczył,
Jakiś miły szatan, na bieżąco,
Spełnia moje marzenia.
Pomyślałam o Tobie
I oto jesteś.
Masz uśmiech, skórę na policzkach,
Włosy zaplecione na karku.
Ani kropli duszy.

Zbyt patrzę

Słyszę,
Jak rozpinasz marynarkę,
Czarna, długa, zwykły,
Prosty krój.

Zaciskam powieki,
Policzek swędzi pod rzęsą,
Niemiłosiernie, śmiertelnie,
Boleśnie.

Słyszę,
Twoje palce na guzikach
Koszuli. Jeden, dwa, trzy,
Liczę ruchy.

Warga ociera wargę,
Uwiera spuchnięta,
Drażni naddartą
Skórą.

Słyszę,
Trzasnął suwak przy
Spodniach. Oparłeś się
O parapet.

Paznokcie kłują,
Przebijają wewnątrz dłoni.
Tak. Oddycham.
Powietrze krąży.

Słyszę,
Twoje oczy jasne. Pytające.
Słyszę. Nie widzę.
Zbyt patrzę.

Kiedyś wiedziałam

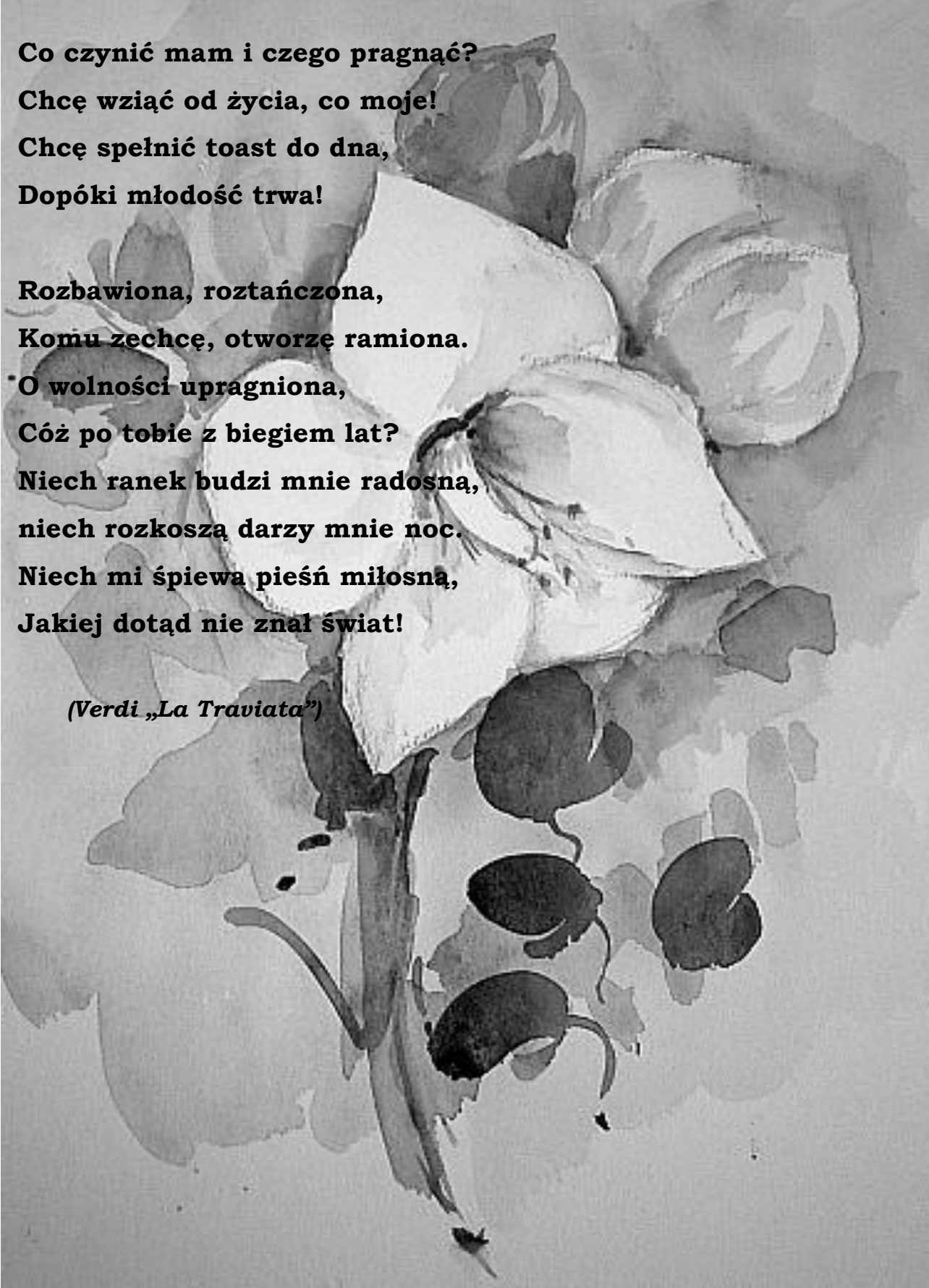
czyli krótka charakterystyka poetki, cz. II

Kiedyś wiedziałam, co znaczy niewinność. Mogłam usiąść pod krzakiem pelargonii i marzyć, mogłam układać sobie życie do snu, jak włosy do tańca. Mogłam czytać w chmurach przedwieczne drogi lotów ptasich i nie wahałam się przed tym. I byłam wtedy czysta, i deszcz się mnie nie imał, i nawet z samym Bogiem byłam na „Staruszkę”. Miałam oczy wielkie, jasne, w jednym z tych kolorów, co to się dają ująć w słowa, jak „niebieski”, „zielony”, „szary”. Tymi oczami mogłam widzieć świat przepelniony prostymi, skończonymi drogami. Tymi oczami poznawałam wyraźne kontury rzeczy na ziemi, zapach bzu i myśli filozofów.

Miałam wtedy pewność niezachwianą moich kroków pełnych, zdecydowanych. Miałam wyznaczone bezwietrzne, zielone granice dobra, a także tych spraw, co są o tyle gorsze, o ile się o nich milczy. I nie chciałam wcale iść.

Nie wiem czemu, ale nie sadzą już pelargonii starsze panie na mojej ulicy, ani na żadnej z ulic, którymi chodzić mi wypadło. Nie wiem czemu, ale ani sen mi się teraz nie układa z życiem, ani włosy w tańcu. Kiedy wypełniałam wniosek o dowód osobisty, najdłużej zatrzymała mnie przy sobie rubryka „kolor oczu”. Ucięłyśmy miłą pogawędkę, obie lubimy herbatę zieloną o zapachu malin. W końcu zamknęłam oczy i postawiłam krzyżyk. Tej wiosny lato zajęło mnie trochę bardziej, niż trzeba. Tańczyłam walca na dnie kieliszka, odpowiedzialność nie dogoniła mnie w porę, trochę popiołu upłynęło, zanim zauważyłam, że bzy... przekwitły.

Był, owszem, był kiedyś czas, że znałam smak słowa „niewinność”. I nie zaciskałam wtedy powiek bezwiednie, żeby suchą stopą przejść Morze Czerwone, i nie musiałam śmiać się do Węża, ani układać z wilkami. I mówiłam językiem miedzi, śpiewałam dźwięcznym głosem cymbalek. Wcale nie chciałam przenosić gór. Choć mogłam. Siadałam wtedy na liściu wiśni, stopy miałam zawsze w bucikach, buciki miały połysk, klamerki, proste, malutkie obcasiki. Pamiętam. Nie bałam się jeszcze śpiewu skowronka. Nikogo nie uczyłam mylić go ze słowikiem.



**Co czynić mam i czego pragnąć?
Chcę wziąć od życia, co moje!
Chcę spełnić toast do dna,
Dopóki młodość trwa!**

**Rozbawiona, roztańczona,
Komu zechcę, otworzę ramiona.
O wolności upragniona,
Cóż po tobie z biegiem lat?
Niech ranek budzi mnie radosną,
niech rozkoszą darzy mnie noc.
Niech mi śpiewa pieśń miłosną,
Jakiej dotąd nie znał świat!**

(Verdi „La Traviata”)